



Pod gruzami domu: Widok zawalonego domu w Skałacie, natychmiast po katastrofie.

Pod gruzami domu.

Gorączka budowlana, której źródłem jest chciwość spekulantów, oraz niesumienność i brak uzdolnienia rzekomo fachowych odpowiedzialnych sił wykonawczych, były już powodem tysiąca katastrof, pociągających za sobą ofiary w mieniu i życiu ludzkim. Najsurowsze ustawy, najskrupulatniejsze przepisy budowlane, są bezsilne wobec ludzkiej lekkomyślności, niesumienności i złej woli. W smutnych wypadkach — podobnych, jak świeżo w Skałacie się zdarzył — nie należy zatem ustaw winić, lecz jedynie ludzi, którym nadzór nad budową powierzony został. A wypadek był to iście tragiczny i wstrząsający swą grozą.

W roku 1904 ukończono piękny jednopiętrowy

gmach Kasy zaliczkowej w Skałacie, który od miesiąca oddany został instytu yi do użytku, a w parterowych apartamentach zamieszkał w nim wraz z rodziną kierownik kasy, p. Halpern. Pozornie nie zapowiadało nic grożącej katastrofy. Mury, na oko solidnie wyprowadzone, wiązania belkowe silne, sklepienia potężne — dawały niemal gwarancję, że budynek przetrwa co najmniej kilka pokoleń ludzkich, tem więcej, że potęgowało tę gwarancję nazwisko budowniczego, p. Schechtera, oraz przedsiębiorcy, p. Pohorilesa. Nadzieje okazały się niestety zwodnemi!

Było to dnia 11 b. m. o godzinie 3 po południu. Urzędnicy opuścili biura przed pół godziną, a rodzina dyrektora wstała dopiero od obiadu. Pan Halpern udał się na poobiednią drzemkę do sąsiedniego pokoju, podczas gdy małżonka jego wraz z trojgiem dzieci pozostała jeszcze przy stole. W tem piekielny huk przerwał ciszę w spokojnym domostwie i równocześnie runęła ściana tylna wraz z sufitem. Huk słyszany był w całym mieście. Zaalarmowani nim mieszkańcy zbiegli się na miejsce katastrofy, między nimi jeden z pierwszych dzielny naczelnik straży pożarnej, p. Michalewicz. Dom przedstawiał w połowie kupę gruzów; reszta ścian zarysowanych — groziła każdej chwili upadkiem.

Z narażeniem własnego życia rzucono się w zwaliska, by ratować życie ludzi, zasypianych gruzami, skąd słabe jęki zdradzały ich obecność. Naczelnik straży, wraz z kilkoma strażakami, wydobyli wreszcie strasznie pokaleczoną i pokrawioną żonę dyrektora Halperna. Życiu jej grozi niewątpliwe niebezpieczeństwo. Szczęśliwym jakimś trafem ani mąż jej, ani dzieci nie odniosły w katastrofie poważniejszych uszkodzeń. Zawdzięczać to należy jedynie przypadkowemu zbiegowi okoliczności, że deski sufitu, odrwane od wiązania, upadły ukośnie, tworząc równię pochyłą — wskutek czego przysypiani mieli trochę powietrza. W innym razie byłoby niechybnie gruzem i rumowiskiem przysypiani.

Straszny ten wypadek wskazuje, że partactwo budowlane, pomimo ostrych przepisów w tym kierunku i nadzoru odpowiednich władz — prosperuje w całej pełni. W wielkich mia-

stach, gdzie ruch budowlany przybiera bardzo szerokie rozmiary — gdzie pośpiech w budowie jest prawie nieuniknionym — dałyby się takie wypadki prędzej jeszcze usprawiedliwić.

Wprost jednak oburzającym jest, że katastrofy takie zdarzają się na prowincji, gdzie chyba dość czasu mają wszyscy i na pracowite a sumienne wykończenie budowy — i na skontrolowanie ze strony władz wartości tej pracy — bodajby tylko w kierunku bezpieczeństwa życia ludzkiego!

Ofiara swego zawodu.

Lekarz, ksiądz i żołnierz, to powołania ponieważ pokrewne sobie. Wymagają one poświęcenia i zaparcia się siebie, umiłowania zawodu swego i cierpiącej ludzkości. Żołnierz, spieszący w obronę ojczyzny na plac boju, lekarz, czuwający przy łożu chorego, kapłan, który niesie ostatnie duchowe pociechy umierającemu — wszyscy oni narażają zarówno swoje życie dla bliźniego. Żołnierz przygotowanym być musi na bohaterską śmierć od kuli wroga, lekarz i kapłan giną nie mniej bohaterską, choć cichą śmiercią, stykając się bezpośrednio z dotkniętymi zakaźnymi chorobami ludźmi. Zwłaszcza lekarz, stojący na wysokości swego powołania, zagląda ustawicznie śmierci w oczy. Poza tem bowiem, że ustawicznie dniem i nocą konsultuje na każde wezwanie chorych, musi dla własnego doskonalenia się robić niebezpieczne studia lekarskie w szpitalach — na stole prosekcyjnym i w laboratorium, gdzie bada istotę zakaźnych bakterii.

Taką śmiercią cichego bohatera, męczennika nauki, zginął na klinice lwowskiej młody, pełen



Ofiara swego zawodu: Dr. Henryk Mańkowski, zmarły wskutek zakażenia krwi przy dokonywaniu sekcji.

nadziei i wybitnych zdolności lekarz, Henryk Wojciech Mańkowski.

Dokonując sekcji w zakładzie doświadczalnej weterynaryi w Dublinach, zaraził się przypadkowo. Natychmiastowa operacja nie zdołała już uratować życia młodemu uczonemu. Przewieziony na klinikę medyczną we Lwowie, po długich, dotkliwych cierpieniach — umarł w tych dniach na ogólne zakażenie krwi.

Ś. p. Mańkowski jest rodowitym Krakowianinem. Po ukończeniu z odznaczeniem gimnazjum św. Anny, uczęszczał czas jakiś na wydział medyczny uniwersytetu krakowskiego. Następnie, przeniósłszy się do Lwowa, tam kończył rozpoczęte w Krakowie studia medyczne, uczęszczając równocześnie i na weterynaryę. Otrzymał dyplom lekarski, poświęcił się specjalnie weterynaryi.

Uzyskawszy stypendyum na dalsze kształcenie się za granicą, zwiedził śp. Mańkowski całą Europę, studiując hodowlę zwierząt, a w Bernie szwajcarskim otrzymał dyplom doktora wszech nauk weterynaryjnych. I teoretycznie zasłużył się bardzo zmarły lekarz nauce. Nader cenione były



Pod gruzami domu: Widok zawalonego domu w Skałacie na drugi dzień po katastrofie. Mury popodpierane ze wszystkich stron belkami, celem zapobieżenia dalszemu waleniu się.